

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

# AŁBENA GRABOWSKA

DOKTOR ANNA

MARGINESY



AUTORKA STULECIA WINNYCH I MATEK I CÓREK

**AŁBENA  
GRABOWSKA**

**UCZNIOWIE HIPPOKRATESA**

**DOKTOR ANNA**

**MARGINESY**

COPYRIGHT © BY Albena Grabowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

## ROZDZIAŁ I

*w którym poznajemy Annę Tomaszewiczównę, absolwentkę Wydziału Medycznego uniwersytetu w Zurychu, jej protektorów – rodzinę Korzyńskich, Grażynę – ich krnąbrną córkę i przyjaciółkę Anny, uroczą służącą Kasię i dowiadujemy się, że dyplom lekarski, działalność naukowa oraz życzliwość niektórych profesorów medycyny nie mają większego znaczenia, kiedy do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego aplikuje kobieta.*

– Czym mogę panience służyć?

Anna obejrzała się. Za jej plecami stał szczupły młodzieniec. Zza okularów spoglądały na nią życzliwie małe oczy. Uśmiechał się do niej zachęcająco. Odchrząknęła.

– Chciałabym się widzieć z profesorem Hoyerem.

Młodzieniec wyprostował się, a spojrzenie z życzliwego zmieniło się w świdrujące.

– Hmm... – mruknął i przetarł ręką wypomadowane włosy. Zaraz cofnął ją szybko, jakby zawstydził się tego gestu. – Chciałaby się panienka widzieć z profesorem Hoyerem?

Gdyby nie była tak zdenerwowana, rozbawiłoby ją to. Młodzieniec zapewne pomyślał, że jest jedną z matek bądź córek jakiegoś biedaka, który zachorował i bezpośrednio u profesora Hoyera pragnie uzyskać nadzieję, obietnicę rewolucyjnej terapii, która mogłaby ocalić komuś życie.

– Czy profesor mnie przyjmie? – spytała.

– Profesor jest zajęтым człowiekiem – odparł młody człowiek protekcjonalnym tonem.

– Mimo to chciałabym się z nim zobaczyć – powiedziała już pewniejszym głosem. – Nie zajmę wiele czasu.

– A w jakiej sprawie panienka przychodzi? – nie ustępował.

– Daruje pan, ale wyjaśnię to profesorowi. – Wyprostowała się i spojrzała dumnie, zauważając przy okazji u swego rozmówcy liczne kaszaki na powiekach i pod oczami, które najwyraźniej próbował usunąć domowym sposobem, przez co doprowadził do zakażenia. Ledwie powstrzymała się od udzielenia mu porady medycznej. – To jest niezwykle ważna sprawa.

– Hmm... – Usłyszała kolejne chrząknięcie. – Jestem osobistym asystentem pana profesora i to ja decyduję, która sprawa jest ważna.

– Rozumiem. – Kiwnęła głową. – W takim razie proszę powiedzieć panu profesorowi, że nazywam się Anna Tomaszewicz i przyszedłam złożyć aplikację do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

– W imieniu męża? – dociekał młodzieniec.

Miesiące dobijania się do różnych instytucji, które mogłyby umożliwić jej wykonywanie wyuczonego zawodu, sprawiły, że nie umiała powstrzymać poirytowania.

– Szanowny panie...? Nie przedstawił się pan... – rzuciła cierpko.

Mężczyzna uklonił się nieznacznie.

– Alfred Dziubiński – powiedział.

– Szanowny panie Dziubiński... Doktorze Dziubiński? – spytała Anna.

– Nie jestem lekarzem – odparł. – Jako asystent pana profesora zajmuję się sprawami administracyjnymi i pragnę panią poinformować, że aplikację trzeba złożyć osobiście. Proszę zatem przekazać szanownemu mężowi, że...

Anna przerwała mu gestem, po czym zaczęła wyrzucać z siebie słowa:

– Szanowny panie Dziubiński. Jestem absolwentką Wydziału Medycznego uniwersytetu w Zurychu. Wróciłam do Polski i pragnę podjąć praktykę lekarską. Chciałabym złożyć aplikację do Towarzystwa. Osobiście. Na ręce profesora Hoyera.

Młodzieniec stał z otwartymi ustami. Anna przywykła do tego widoku. Nie budził w niej jednak rozbawienia. Już miała dość mężczyzn patrzących na nią jak na dziwoląga.

Ciężkie dębowe drzwi z mosiężną tabliczką informującą: „Profesor Henryk Hoyer. Prezes Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego”, uchyliły się nagle i stanął w nich niski, siwowłosy mężczyzna.

– Alfredzie? – zwrócił się do asystenta po tym, jak uklonił się Annie z szacunkiem. – Cóż to za krzyki?

Alfred Dziubiński wycelował palec w stronę kobiety.

– Ta pani – powiedział przyciszonym głosem, jakby obawiał się, że donośniejszy ton jest w tej chwili niestosowny – twierdzi, że studiowała medycynę, i przyszła zapisać się do Towarzystwa.

Po wypowiedzeniu tych słów zastygł z pełnym oburzenia wyrazem twarzy. Następnie skrzyżował ręce na piersiach i stanął w takiej pozie obok posągu ojca wszystkich lekarzy – Hippokratesa. Wyglądał przy tym dość groteskowo i Anna mimowolnie się uśmiechnęła.

– Tak twierdzą, bo to jest prawda – powiedziała z westchnieniem.

Profesor popatrzył na swojego asystenta.

– Alfredzie, trzeba było mnie niezwłocznie wezwać. Jeśli ktoś przychodzi złożyć aplikację, musi to zrobić osobiście i porozmawiać ze mną, zatem nie może mnie pan pominąć.

Alfred rozłożył ręce.

– Ale ta pani mówi, że... – Urwał i złapał się za głowę, po czym schował twarz w dłoniach, jakby bał się spojrzeć na kobietę, która śmie twierdzić, że uprawia zawód, którego uprawiać nie może. Już za sam taki pomysł Alfred powinien związać nieszczęsną, a potem zaprowadzić czym prędzej do miejsca dla obłąkanych. Brat Alfreda krótko pracował w takim przytułku i opowiadał, że

roi się tam od Napoleonów Bonapartych, królowych Wiktorii i kobiet, które opowiadają, jak spólkowały z diabłem. Wśród takich właśnie indywiduów powinna znaleźć się niewiasta, która upiera się, że ukończyła studia medyczne.

Profesor przeniósł wzrok na Annę, a ona wyciągnęła rękę.

– Anna Tomaszewiczówna – przedstawiła się. – Skończyłam medycynę w Zurychu, mogłam podjąć pracę w Szwajcarii czy Japonii, ale pragnę praktykować w Warszawie...

– Proszę do mnie – przerwał jej profesor. – Nie będziemy rozmawiać na korytarzu.

Anna obrzuciła Alfreda Dziubińskiego spojrzeniem pełnym satysfakcji i weszła za wybitnym polskim embriologiem do obszernego gabinetu.

– Proszę usiąść, droga pani. – Wskazał jej skórzany fotel.

Anna położyła teczkę ze swoimi pracami na biurku profesora i usiadła.

– Chciałabym złożyć aplikację... – zaczęła ponownie.

– Co pani sądzi o pracach Virchowa? – profesor zwrócił się do Anny po niemiecku.

Zamrugła.

– Nie rozumie pani? – spytał znów po niemiecku. Anna natychmiast odzyskała mowę.

– Rozumiem doskonale – odpowiedziała płynną niemczyzną. – Wiem, że pracował pan pod kierunkiem profesora Rudolfa Virchowa w Berlinie, stąd zapewne pana pytanie. Uważam, że teoria patologii komórkowej prezentowana przez profesora Virchowa jest błędna. Pasteur wykazał te błędy i ja...

Hoyer uniósł rękę, a Anna zamilkła.

– Również uważam, że ta teoria jest błędna – powiedział już po polsku. – A polemiki z Pasteurem wielce niefortunne.

– Pasteur – Anna uśmiechnęła się – obalił teorię samoródtwa. Ludzkość zawdzięcza mu tyle samo co Kopernikowi.

– O tak – zgodził się profesor Hoyer. – To samo mówiłem na wykładach. Studenci mają bardziej otwarte umysły. Niektórzy moi koledzy nadal tkwią mentalnie w czasach teorii miazmatów fruujących w powietrzu.

– Nie jest zatem dziwne, że tak wielki klinicysta jak Virchow nie może się przekonać do badań Pasteura – rzuciła obronnym tonem. – Ma wielkie zasługi na innych polach.

– Virchow jest praktykiem. – Profesor Hoyer patrzył na nią z nieukrywaną sympatią. – Jako pierwszy wykonywał biopsje...

– Proszę wybaczyć – przerwała rozmówcy – ale nie jako pierwszy, tylko jeden z pierwszych. Osobiście znam udokumentowane przypadki biopsji i oceny mikroskopowej tkanek przewodu pokarmowego, wątroby, mięśni, a nawet mózgu, i to w Warszawie, proszę sobie wyobrazić... – Anna uśmiechnęła się do profesora. – W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym w Szpitalu Dzieciątka Jezus dokonali tego doktorzy...

– ...Bogumił Korzyński i Leopold Teraz-Zawisza – dokończył profesor Hoyer i zdjął okulary. – Pierwszy z nich jest członkiem naszego Towarzystwa.

– I doktor Ludwik Koniecpolski – dopowiedziała Anna.

– Tak! – wykrzyknął Hoyer. – Tak! Ma pani rację!

Anna zastanawiała się, czy wykrzyknienia profesora dotyczą wiary w jej medyczne wykształcenie czy też tego, że znała tę wybitną trójkę klinicystów, którzy zdolnościami nie ustępowali wielkim lekarzom z Wiednia, Edynburga czy Berlina. Nie ośmieliła się jednak przerwać ciszy.

– Słyszałem o pani – powiedział w końcu profesor Hoyer. – Byłem jej nawet ciekaw...

Anna już miała powiedzieć, że jest przyzwyczajona do traktowania jej niczym cyrkowej małpy, ale widząc na sobie wzrok profesora, niewątpliwie pełen szacunku, nie skomentowała tego.



– Panie profesorze – położyła rękę na sercu – nie jestem pierwszą kobietą, która skończyła Wydział Medyczny uniwersytetu w Zurychu. Wyprzedziło mnie sześć Rosjanek, cztery Niemki, trzy Angielki i jedna Amerykanka. Wydawało mi się, że moja droga do praktyki jest już przetarta. Tymczasem... – Spojrzała bezradnie.

– Pani doktor – głos profesora brzmiał niezwykle łagodnie – wie pani, że warunkiem przyjęcia aplikacji jest praca naukowa. Czy ma pani odpowiedni dorobek?

– Tak. – Wskazała wzrokiem na sfatygowaną skórzaną teczkę. – Na przedostatnim roku studiów uzyskałam asystenturę u profesora Hitziga i prowadziłam badania dotyczące aktywności elektrycznej kory mózgu u psa. Profesor, doceniając mój wkład w owe badania, przedstawił mnie jako współautorkę publikacji.

Anna nie dodała, że asystentura pozwoliła jej przetrwać w Zurychu i nie umrzeć z głodu. Nie powiedziała także, że w czasie owych badań w niewiadomy sposób zaraziła się tyfusem i przez kilka dni balansowała na granicy życia i śmierci. Tylko rzetelnej, wręcz czulej opiece swoich mentorów zawdzięczała pełny powrót do zdrowia.

– Słyszałem o tych badaniach i o ich przerwaniu. – Profesor wziął teczkę i otworzył ją. Obejrzał pierwszą z umieszczonych tam prac. – Ubolewam, że w naukowym świecie nie można przedłożyć rozwoju wiedzy nad pewne aspekty... inne – zakończył niezręcznie.

Anna uśmiechnęła się.

– Owszem, władze uczelni zakazały profesorom Hitzigowi i Fritschowi badań na terenie uczelni, ale z powodzeniem zakończyli je w domu. Po publikacji tych przełomowych badań mogli kontynuować prace już jawnie.

Rozległo się głośne pukanie, drzwi uchyliły się, a następnie stanął w nich Alfred Dziubiński.

– Czy wszystko w porządku, panie profesorze? – spytał.

– W jak najlepszym – zapewnił go Hoyer. – Chociaż bardzo dobrze, że pana widzę, bo uświadomiłem sobie, że nie zaproponowałem pani doktor nawet filiżanki herbaty. Czy wybaczy mi pani?

Anna kiwnęła głową.

– Prosimy dwie filiżanki – powiedział Dziubińskiemu i odprawił zdumionego asystenta ruchem ręki.

– Na czym skończyliśmy? – spytał.

– Na moich badaniach kory motorycznej i czuciowej, które prowadziłam pod kierunkiem...

– A tak – przerwał jej Hoyer. – Chciała pani specjalizować się w chorobach nerwowych, tak?

– Tak – potwierdziła. – Jednak los zdecydował inaczej. Badania na mózgu są kontrowersyjne. Wciąż nie wiemy, jak doświadczenia na zwierzętach można przenieść na ludzi.

– To prawda. – Profesor pokiwał głową. – Sam bym się nie ośmielił. To jedyna dziedzina fizjologii, która wciąż pozostaje tajemnicą. O której nie możemy wiele powiedzieć na podstawie sekcji.

Anna spojrzała z wdzięcznością na tego człowieka. „Boże, Boże”, pomyślała, „żeby tylko dwie trzecie członków Towarzystwa Lekarskiego było podobnych do profesora Hoyera”. Tyle bowiem głosów potrzebowała, aby przyjęto jej aplikację.

– Trafiłam pod skrzydła profesora Hermanna i pod jego kierunkiem napisałam i obroniłam pracę *O niektórych funkcjach labiryntu* – dodała, nie kryjąc dumy.

– Niezwykłe! – Profesor klasnął w dłonie i ponownie wziął do ręki skórzaną teczkę. – Czy ta praca tu jest?

Wyglądał przy tym jak dziecko, które pragnie czym prędzej dobrać się do deseru.

– Oczywiście. – Anna skinęła głową. – Jest też kilka innych. Poza tym znajdzie pan profesor mój dyplom i listy polecające od

kilku profesorów. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby przyjęto moją kandydaturę.

Drzwi uchyliły się i do gabinetu wszedł ponownie Alfred Dziubiński w towarzystwie służącej. Dziewczyna niosła tacę, na której spoczywały dwie włoskie filiżanki pełne bursztynowego płynu, obok niewielka cukierniczka, talerzyk, na którym piętrzył się stos ciasteczek, i dwie pięknie ozdobione łyżeczki. Annie, która miała bardzo ograniczone środki finansowe i przez to niewiele jadała, a już na pewno nie ciasteczka, napłynęła ślina do ust.

– Panie profesorze, ośmielę się przypomnieć, że niedługo ma pan...

– Zebranie, wiem – przerwał mu Hoyer, po czym wyjął z kieszeni surduta zegarek i sprawdził godzinę. – Będę punktualnie, proszę się nie martwić.

Służąca postawiła tacę na stole i dygnęła. Dziubiński uklonił się, kiwnął na dziewczynę i razem wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Rozumiem, że ma pan ograniczony czas – powiedziała Anna, biorąc do ręki filiżankę, wcześniej obficie posłodziwszy herbatę, i sięgając po ciasteczko. „Guzik mnie obchodzi, czy to wypada”, pomyślała i zaraz po zjedzeniu jednego sięgnęła po kolejne.

– Nie, pani doktor. – Profesor machnął ręką. – Mój asystent jest nieprzyzwyczajony do tego, że rozmawiam z kobietą o jej kwalifikacjach naukowych. Prawdopodobnie nie wierzy w to, że pani ukończyła jakiegokolwiek studia, a tym bardziej medyczne, i sądzi, że grozi mi z pani strony wielkie niebezpieczeństwo.

– Nie jest w swojej opinii odosobniony, niestety – westchnęła. – Przynajmniej w Polsce. Jedynie w Zurychu nie podawano w wątpliwość mojej wiedzy, chociaż na studiach traktowano mnie surowiej niż mężczyzn.

Wzięła do ręki kolejne ciasteczko, modląc się, żeby nie zaczęło jej burczeć w brzuchu.

– Drogie dziecko – profesor uśmiechnął się łagodnie – proszę wybaczyć, że tak do pani mówię... Spotka się pani z niejednym niezycziwym pani mężczyzną. Oby kobiety panią wspierały. Anna dopiła resztkę herbaty.

– Zapoznam się z pani pracami i przedstawię je na zebraniu Towarzystwa. Jeśli są tak znakomite, jak sądzę, gorąco zarekomenduję pani kandydaturę – powiedział Henryk Hoyer.

Poczuła spokój i głęboką sympatię dla tego otwartego człowieka.

– Dziękuję panu najserdeczniej za to, że zechciał mnie pan przyjąć i poświęcić mi swój czas. Moja wdzięczność nie ma granic.

Profesor ujął jej rękę, ścisnął i patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

– Przyjdzie czas, kiedy nie będzie musiała pani walczyć o uznanie swoich racji. Głęboko w to wierzę.

Po wyjściu z gabinetu profesora podeszła do wieszaka i poczekała, aż Alfred Dziubiński poda jej płaszcz. Asystent profesora wziął jej palto koniuszkami palców i obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem. „Nie byłabym biedna, gdybym mogła pracować”, chciała krzyknąć, ale zamiast tego starała się sprawiać wrażenie, że lichota odzienia jej nie przeszkadza, że jest swoistą ekstrawagancją, a nie wynikiem ubóstwa.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziała, wychodząc. – Herbatą była wyborna. Podobnie ciasteczka.



Droga Grażyno,  
pogoda tutaj jest okropna. Zimno i wietrznie, śnieg po pas. Nie zawsze można znaleźć dorożkę. Przymycałam się, że chodzę

wszędzie piechotą, chociaż mam świadomość, że po przebyciu tyfusu powinnam o siebie dbać. Złożyłam papiery na ręce profesora Hoyera. Przyjął mnie niezwykle życzliwie, poświęcił wiele czasu i rozmawiał jak równy z równym. Niecały tydzień później przysłał list, w którym chwalił moje znakomite prace. Napisał, że wiele się dowiedział na temat fizjologii naszego umysłu oraz działania labiryntu. „W czasach, kiedy największymi problemami warszawskiego medyka są brud, bieda i zaraza, ktoś, kto niesie ze sobą naukę, jest na wagę złota”. Wyobrażasz sobie? Tak mądry człowiek okazał się także zacnym. Będzie mnie gorąco rekomendował. Ale nawet on nie jest w stanie zagwarantować mi, że inni mężczyźni zechcą zmierzyć się z moim damskim umysłem. Piszę to gorzkim tonem, ale wiem, Grażynko, że mnie rozumiesz. Ty jedyna mnie rozumiesz jak nikt.

Śmiałaś się ze mnie, że zawsze muszę rozbudować swoją odpowiedź zamiast napisać wprost co i jak. Zatem to zrobię, chociaż wzruszenie ściska mi gardło. Dziękuję Ci, moja kochana przyjaciółko, za dach nad głową i morze życzliwości, które dostałam od Ciebie, Twoich rodziców i sióstr. Panięskie mieszkanko Twojej ciotki, które otrzymałam, jest cudem, moim schronieniem, domkiem z bajki i marzeń. Nigdy Ci się nie wypłacę za to, że mnie zmusiłaś, bym przełknęła dumę i przyjęła pomoc od Ciebie i Twoich rodziców. Nigdy nie zapomnę Twoich słów: „Jedź tam i mieszkaj, ale przedtem odkurz dobrze wszystkie kąty. Zabierz to, co zostało po dziadku Remigiuszu, ciotce Auguście i zaopiekuj się ich dorobkiem naukowym. Co jest warte zostawienia, zostaw, resztę spal”. Tak zrobiłam, kochana przyjaciółko. Twoja rodzina jest mi niezwykle życzliwa. Twoja mama jest cudowna, tak trafnie ją opisałaś. To przepiękna kobieta, przyjęła mnie jak córkę. Podobnie pan Bogumił, który podzielił się ze mną całym swoim doświadczeniem naukowym i zrobił wszystko, żebym mogła uczyć się na prowadzone

przez niego wykłady w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Pan Bogumił liczył na to, że jako dyrektor będzie mógł sprawić, bym sama stanęła na katedrze i podzieliła się swoim doświadczeniem z Zurychu. Pewnie sądził, że przetrę i Tobie szlak, a kiedy wrócisz, od razu wejdiesz do sali wykładowej. Gdzie tam... Władze rosyjskie wymagają nostryfikacji zagranicznych dyplomów. Sęk w tym, że wobec kobiet powinna być zastosowana inna procedura, a takowej nie ma. I sprawa stanęła w martwym punkcie. Jak wiesz, byle co mnie nie zraża i niejednej odmowy w życiu doświadczyłam. Uparłam się, że zdam egzamin, i udałam się w tym celu do kuratora okręgu naukowego...

Anna przerwała na chwilę, przypomniałszy sobie, że aby opłacić podróż, sprzedała skórzane rękawiczki i mufkę. Byłaby zamarzła, bo był już koniec jesieni i spadł śnieg, gdyby pani Domicela nie wyciągnęła z dużego kufra szynszylowej mufki i rękawic swojej zmarłej matki i nie wcisnęła ich Annie niemalże siłą, argumentując, że mamcia w grobie spoczywa, a w zaświatach rękawic nikomu nie potrzeba.

...a ten odesłał mnie do ministra. Pojechałam i tam, powiedziałam, co moje, a minister, wyobraź sobie, zgody mi nie dał. Aplikowałam do Polskiego Czerwonego Krzyża, bo łatwo mogłam przedstawić im swoje referencje z samego Zurychu, ale oni także odmówili, jako przyczynę podając brak praktyki. Jak mogę praktykować, kiedy mi nie pozwalają? W taki oto sposób koło się zamyka. Nie mogę pracować, bo mi nie pozwalają, nie pozwalają, bo nie mam praktyki, a jak mogę ją zdobyć, nie pracując? Piszę Ci to wszystko, bo przecież Ty też tego doświadczysz, kiedy wrócisz. O ile wrócisz... Może powinnaś jechać do Bostonu? Mówiłaś, że tam Twój wuj i ciotka robią wszystko, żebyś pracowała jako lekarka. Tu czekają Cię jedynie frustracja i obi-

janie się od drzwi do drzwi. Obym nie miała racji i oby przema-  
wiała przeze mnie jedynie gorycz. Tak. Oby tak było.

Ale wiesz, kochana Grażynko, są i dobre tego strony. Mój upór sprawił, że stałam się sławna. No, w pewnych kręgach, oczywiście. „Przegląd Lekarski” napisał o mnie: „Z żalem przyznać trzeba, że pannę Tomaszewicz na samym wstępie w jej zawodzie same tylko nieprzyjemności spotykają. Pragnęła tutaj egzamin składać i udała się w tym celu do kuratora okręgu naukowego, ten ją odesłał do ministra, a minister pozwolenia na to odmówił. Nadto ofiarowała swoje usługi Towarzystwu Czerwonego Krzyża, ale to odrzuciło jej propozycję”

No nic... Może los się odmieni. Szkoda, że nie jestem tak ładna jak Ty. Może to by pomogło...

Znowu przerwała pisanie i przywołała w pamięci przyjaciółkę. Grażyna Korzyńska była najpiękniejszą kobietą, jaką widziała. Niestety także najbardziej krnąbrną i upartą jak osioł. „Jak to dziwnie życie się układa”, rozważała Anna. „Jednego dnia ratujemy ludzi i dajemy im schronienie, a drugiego to oni sprawiają, że mamy gdzie mieszkać i co jeść”, pomyślała. Pożałowała, że napisała zdanie o urodzie Grażyny. Przecież przez tę piękność stało się nieszczęście i Grażyna przerwała karierę naukową. Anna wróciła myślami do wydarzeń z Zurychu. Kiedy usłyszała, że „pewna Polka ma wielkie kłopoty, bo prowadzi się niemoralnie”, nawet przez chwilę nie zastanawiała się, czy jej pomóc. Pierwszy raz spotkały się właśnie wtedy. Grażyna była chora, samotna, mieszkała kątem u stróżki po tym, jak straciła dom, a duma nie pozwalała jej wrócić do Polski. Zaprzyjaźniły się niemal od razu. Anna wyciągnęła do niej rękę, dała dach nad głową, spokój, a tym, co zarobiła, dzieliła się z przyjaciółką. Wierzyła, że Grażyna zawróci ze źle obranej drogi, to tylko kwestia czasu. Kiedy stało się jasne, że przyjaciółka nie dokończy specjalizacji, Anna błagała ją,

żeby razem wróciły do Warszawy. „Tam wszystko się ułoży”, przekonywała. „Gdybym ja miała takich wspierających rodziców jak ty, nawet bym się nie zawahała”. „Dlatego nie mogę wrócić”, upierała się Grażyna, „bo ich zawiodłam. Nie mogę spojrzeć w oczy matce, ojcu złamałabym serce. Wrócę, ale nie teraz. Muszę wypić piwo, którego nawarzyłam. Ale ty jedź”, przekonywała. „Powiedz mojej matce i ojcu oraz siostrze, że miewam się dobrze, że kiedy wrócę, będą ze mnie dumni. Spodoba ci się mieszkanie po ciotce, moja droga. Będiesz tam miała dobrze. Z jednej strony mama i ojciec będą blisko, z drugiej nie będziesz musiała spać z nimi pod jednym dachem. To wprawdzie kochani staruszkowie, ale najmilej samemu. To znaczy nie to miałam na myśli, droga przyjaciółko, z tobą mieszkało mi się cudownie. Tyle ci zawdzięczam. Niech to skromne mieszkanie będzie chociaż próbą spłaty długów”. Anna nie tylko zamieszkała przy rodzinie Grażyny, ale też stała się jej częścią. To pan Bogumił poradził jej, aby aplikowała do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, a pani Domicela pomogła się urządzić. Na następny dzień została zaproszona na obiad do tych kochanych ludzi i nie wiedziała, co ma im powiedzieć, kiedy spytają o postępy córki w specjalizacji. Postanowiła dokończyć list.

Kochana przyjaciółko, Twoi rodzice traktują mnie jak córkę. Proszę Cię, zdecyduj, jak zamierzasz żyć dalej. Będę musiała im coś o Tobie powiedzieć i nie chciałabym kłamać.

Podarła kartkę, na której napisała te słowa, i wzięła cystą.

Kochana przyjaciółko, cokolwiek postanowisz, będę sercem z Tobą. Napisałam sercem, nie umysłem, bo nie wiem, czy się z Twoim wyborem zgodzę. Czasem jesteś dla mnie zagadką, moja droga. Nie wiem jeszcze, czy to rozsądne tu wracać,



czy może do wujostwa do Bostonu powinnaś pojechać i tam kontynuować przerwana specjalizację. Gdyby sprawa z Zurychu się wydała, wiesz, że ocenią Cię i „skażą”, nie dając szansy na usprawiedliwienie. Nie żebym sądziła, że powinnaś się tłumaczyć...

Znów podarła kartkę i zaczęła pisać po raz kolejny.

Kochana przyjaciółko, stanę po Twojej stronie, kiedy podejmiesz decyzję. Na pewno będzie to dobre postanowienie, bo Twoje. Nie przejmuj się złymi językami. Mężczyźni od wieków starali się nas zniewolić. Jesteśmy dla nich ozdobnikami albo co najwyżej mamami ich dzieci. My musimy walczyć o swoje. Nie możemy się poddawać. Pamiętaj, że będę Cię wspierała, i błagam Cię, żebyś zwróciła się do rodziców. Wyznaj, co się stało, a oni, jestem tego pewna, przybędą z odsieczą.

Twoja na zawsze,  
Anna



Stół u Korzyńskich był zastawiony jedzeniem, a Anna nie pamiętała, kiedy ostatnimi czasy mogła posilić się do syta. Starła się jeść wolno, małymi kęsami, starannie przeżuując, jak dama, która nigdy nie bywa głodna. Początkowo nawet się jej udawało, ale kiedy służąca wniosła kolejny półmisek – tym razem parujących duszonych warzyw – przestała czuć jakiegokolwiek skrupuły i jadła wszystko, co proponowali jej mili gospodarze. Cieszyła się przy tym, że nie zacisnęła zbyt mocno gorsetu.

– Państwo są dla mnie tacy dobrzy – powiedziała. – Nie wiem, jak się odwdzięczę.

Pani Domicela uśmiechnęła się.

– Przecież wiesz, że jesteś dla nas jak córka – odparła łagodnie. – Chociaż ciebie możemy tu gościć.

Anna uciekła wzrokiem. Znów przypomniała sobie, jak na próżno prosiła Grażynę, żeby wróciła z nią do Warszawy i jej uparte odpowiedzi: „Wróć, kiedy przyjdzie na to czas, teraz to byłaby ucieczka, a ja nie jestem szczurem”.

– Już dwa lata nie widzieliśmy naszej córki – westchnęła pani Domicela. – Píše rzadko, zdawkowo. Mam nadzieję, że powiesz nam coś więcej o jej życiu w Zurychu. Czy jest szczęśliwa?

„Tylko nie mów rodzicom o tym, co się stało”, zamigotało jej w głowie.

– Ma dużo zajęć – odpowiedziała Anna, nie patrząc w oczy pani Domiceli. – Profesor Rayzer jest ogromnie wymagający.

– Mogłaby napisać coś o swoich pracach badawczych – stwierdził gorzko pan Bogumił, a Anna znów poczuła się podle. – Czekam na doniesienia naukowe. Mam nadzieję, że podobnie jak twoje prace, Aniu, przeczytam kiedyś artykuły Grażynki. Ale już teraz mogłaby napisać i wymienić doświadczenia ze starym ojcem.

– I nie tak całkiem starą matką. – Pani Domicela roześmiała się.

– Do mnie też niewiele pisze – powiedziała cicho Anna.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Wysłała piękny list, kiedy urodziłam moją Irenkę – odezwała się Marcelina, najstarsza siostra Grażyny.

Irenka miała obecnie dwa latka, biegła wokół stołu w koronkowej sukience i próbowała uciec bonie, która chciała ją przebrać po tym, jak dziewczynka wysmarowała sobie buzię i sukienkę sosem z pieczeni.

– Ja piszę do niej co miesiąc, bo bardzo ją podziwiam – wyznała średnia siostra Ewelina, zwana w rodzinie Ewą, która z tego, co Anna wiedziała, także chciała zostać lekarzem, ale w wieku lat siedemnastu poznała na balu przystojnego studenta Jerzego, za-

kochała się na zabój, a po dwóch latach narzeczeństwa wyszła za niego za mąż. Obecnie mieli dwie córeczki – sześciolletnią Anielkę i czteroletnią Klarcie.

– Tak, Ewunia pisze Grażynie o wszystkim, co się u nas dzieje. – Jerzy Terpiłowski roześmiał się i spojrział czule na żonę. – I nie przejmuję się, że odpowiedzi nie nadchodzą tak często, jak by chciała.

– Gdyby tu była, biegałybyśmy z bonami i dziećmi po parku, plotkowały o tym, jaka służba jest rozkapryszona, i obmawiały te z nas, którym nie udało się złapać mężów. – Ewa uśmiechnęła się do niego.

– Protestuję – żartował Jerzy. – Mnie nie złapałaś, tylko ja ciebie, moja droga. Poza tym wiele razy ci mówiłem, że mam świadomość, jak wielkim wyzwaniem dla kobiety jest studiowanie.

– I to za granicą – dodała Marcelina.

Jej mąż był tego dnia nieobecny, ponieważ wyjechał na prowincję, gdzie prowadził interesy.

– Tak się składa, że wszystko dzieje się, niestety, za granicą – powiedział Bogumił Korzyński gorzkim tonem. – Nie wiem, kiedy będziemy mogli kształcić się w wolnym kraju.

– Mamy przecież Cesarski Uniwersytet Warszawski... – zauważył Jerzy.

– Cesarski... – Bogumił nie potrafił ukryć ironii. – I nie przyjmuje kobiet.

Anna pokiwała głową. Grażyna opowiadała jej, że ojciec był rozczarowany, kiedy urodziła mu się trzecia córka, ale bardzo szczęśliwy, gdy okazało się, że odziedziczyła po nim zdolności i chęć do nauki. Rodzina wręcz zachęcała ją do wyjazdu. Korzyńskich stać było na sfinansowanie córce studiów za granicą. Początkowo Grażyna miała jechać za ocean do ciotki do Bostonu albo do Cleveland, by studiować na tamtejszym uniwersytecie, który już od kilkunastu lat przyjmował kobiety. Matka chciała

jednak, aby córka była bliżej domu, dlatego wybrano Zurych. „Widocznie los chciał, żeby pojechała do Szwajcarii i poznała tego obłudnika Rayzera”, pomyślała ze złością Anna, po czym wróciła do rozmowy przy stole.

– Dobrze, że nas na Sybir nie zsyłają za samą chęć studiowania – zauważyła. – Jedyne nie przyjmują na uczelnie.

– I jeszcze długo przyjmować nie będą – zakończyła pani Domicela. – Przynajmniej resztą świata rządzi postęp i są już dla was jakieś możliwości. Kiedy ja byłam młoda, mnie i moje siostry uczono języków. I po co?

– Żebyście czytały wiersze w oryginale, mamo. – Ewa się roześmiała. – I mogły zabłysnąć w towarzystwie jakimś francuskim powiedzonkiem.

– Ja i Augusta, moja siostra – odpowiedziała pani Domicela, patrząc przy tym na Annę – znamy nie tylko język francuski, ale też angielski i niemiecki. Wprawdzie angielskiego dawno nie używałam, a niemieczkę znam biernie, gdyż jedynie czytam w tym języku, ale gdybym pojechała do Augusty albo do córki, to zaraz bym sobie wszystko przypomniała i po tygodniu mówiła jak miejscowa.

Bogumił spojrział na żonę z miłością, a Anna z podziwem. Grażyna opowiadała jej o ciotce Augustcie i o tym, że ta czytała pisma naukowe, by pomóc mężowi w karierze naukowej, ale nie wspomniała, że jej własna matka jest równie zdolna. Właściwie nie mówiła o niej wiele, cały czas zachwycając się ciotką Augustą, która nie mogła studiować medycyny, ale życie spędziła na analizowaniu prac Semmelweisa, Jennera, Browna-Séquarda i Gravesa. Zapewne marzyła, żeby jej własna córka została lekarzem, ale z tego, co Anna wiedziała, panna Barbara, zachwycona pracami Darwina, zgłębiała teorię ewolucji.

– Na pewno, kochanie. – Pan Bogumił uśmiechnął się do żony.

– Pani jest ogromnie zdolna – wyrwało się Annie. – Szkoda, że nie mogła pani studiować medycyny.

– Nawet o tym nie myślałam. – Pani Domicela machnęła ręką. – Moja siostra Augusta... Cóż ona nie robiła, aby zostać lekarzem. Tylko ty mogłabyś ją naprawdę zrozumieć.

– Ja? – zdumiała się Anna.

– Ty, droga Anno. – Marcelina położyła rękę na jej dłoni. – Przecież wiemy, jak ci było trudno.

Kiedy z wyróżnieniem skończyła pensję i powiedziała rodzicom o swoich pragnieniach, ojciec zaczął się śmiać. Matka nie odzywała się do niej przez dwa dni. Potem powiedzieli, że mogliby rozważyć wysłanie jej na studia medyczne, gdyby Anna urodziła się chłopcem. Ale ona była uparta i trwała przy swoim. Chciała leczyć ludzi. Postanowiła, że płęć jej w tym nie przeszkodzi. „Mężczyźni i kobiety mają takie same mózgi, tylko kobietom nie pozwala się ich wykorzystywać”, argumentowała. Dodatkową przeszkodę stanowił fakt, że nie pochodziła z tak majątnej rodziny jak Korzyńscy. Miała pięcioro rodzeństwa, nauka za granicą pochłonęłaby zbyt wiele środków. Rodzice prosili o zrozumienie. Apelowali do jej rozsądku, radzili, aby została nauczycielką, skoro tak bardzo chce się kształcić. Wydawało się, że nigdy nie spełni swojego marzenia. Kiedy postanowiła, że poświęci się pracy i w ten sposób zgromadzi chociaż część pieniędzy na studia, wsparli ją bracia i siostry. Anna przestała wtedy jeść, szantażem starając się przekonać ojca, że albo spełni marzenia, albo umrze. Ustąpił. Mogła pojechać do Zurychu.

– Na pewno najgorsza jest tęsknota za bliskimi? – spytał Jerzy Terpiłowski.

Anna, która za nic nie pozostałaby w rodzinnej Mławie, wymamrotała coś wymijająco.

– Grażynce na pewno jest trudno – ciągnął Jerzy. – Zawsze była bardzo związana z mamą. Z tatkiem także.

– Mój kochany zięciu – uśmiechnęła się pani Domicela – wszyscy jesteście świadomi, jak ciężko jest naszej córce z dala od rodziny. Wiemy jednak, że sobie poradzi.

„Nie jesteście całkowicie świadomi”, pomyślała Anna, ale nic nie powiedziała, tylko przyjęła kawałek perliczki od pani domu. „Gdybyście wiedzieli, że Grażyna przerwała specjalizację, bo wdała się w romans z żonatym profesorem chorób kobiecych, że jego żona postarała się, aby nieszczęsną kochankę spotkał ostracyzm towarzyski, pewnie nie siedzielibyście tak spokojnie”. Sama była niespokojna. Grażyna czuła się już lepiej, ale była w Zurychu sama, niepewna dalszych losów i praktycznie pozbawiona środków do życia. Anna poczuła złość, kiedy przypomniała sobie, co pani Rayzer napisała o Grażynie: „Cudzoziemka, która zawitała na szwajcarską ziemię, aby kraść Szwajcarkom ich małżonków. To, co zrobiła ta polska panna lekkich obyczajów, nie tylko sankcjonuje rozbiory kraju, z którego panna owa pochodzi, ale stawia w bardzo dziwnym położeniu rodziców owej istoty, którzy wypuścili dziecko z domu i wydali na pastwę pokus losu. Dziecko owo, panna, która przekonała wszystkich, żeby wpuszczono ją za próg uczelni, która powinna służyć tylko mężczyznom, użyła całej swej wiedzy, aby postąpić jak czarownica, zielarka, strzyga jaka, a nie uczciwa obywatelka”.

List ów może nie był logiczny, ale stanowił emocjonalne oskarżenie i uczynił z Grażyny jedyną winną. Pani Rayzer przeczytała swoją epistołę na posiedzeniu klinicznym przed profesorami, studentami i samą Grażyną. Na domiar złego, upubliczniła go drukiem, aby każdy mógł przeczytać o występnej pannie. Co ciekawe, nikt nie żądał dowodów prawdziwości oskarżeń profesorowej. Ta jednak, na wszelki wypadek, napisała, że jest w posiadaniu kompromitujących „tę Polkę” listów do jej męża i może ujawnić owe listy. Anna wiedziała, że Grażyna ma listy profesora, ale nawet gdyby je opublikowała, nie tylko nie polepszyłyby to

jej sytuacji, ale wręcz uczyniło ją niezdolną. „Gdybym była mężczyzną, to powinnam się zabić”, powiedziała jej później Grażyna a Anna pomyślała, że w obliczu takiego skandalu to Rayzer powinien się zabić, gdyby oczywiście był mężczyzną.

– Mamy świadomość, jak bardzo Grażyna jest zajęta pracą naukową, ale sądzimy, że chodzi o coś więcej niż badania – Anna usłyszała głos pana Bogumiła, który przerwał jej rozmyślenia.

Dziewczyna z trudem przełknęła kolejny kęs.

– Chciałabym, żeby wróciła, ale lepiej, aby pojechała do Bostonu, do mojej siostry i jej męża. Leopold na pewno pomoże Grażynie w uzyskaniu dobrej asystentury – powiedziała nagle pani Domicela.

Anna poczuła, że znów brak jej tchu. Co ma zrobić? Wyznać Korzyńskim prawdę? Tyle razy mówiła Grażynie, że musi wrócić do Warszawy i poczekać, aż sprawa przycichnie, albo spróbować szczęścia za oceanem. W ostatnim liście napisała jej to po raz tysięczny. Ona jednak uparcie powtarzała, że wyjedzie z Zurychu dopiero wtedy, kiedy rozwiąże swoje sprawy.

– Proszę państwa... – zaczęła.

– Mamო!!! – wrzasnęła nagle sześciolatka Anielka i wycelowała palec w siostrę. – Ona mnie bije!

Jej matka pospieszyła, aby uspokajać swoje pociechy, ojciec zaczął je karcić i grozić klęceniem na grochu, a pani Domicela obserwowała całą sytuację z troską na twarzy. Tylko pan Bogumił nie spuszczał oczu z Anny.

– Pani Anno – powiedział z wyraźnym wysiłkiem – jeśli jest coś, czego nie może nam pani wyznać, bo moja córka uzyskała od pani obietnicę, że jej nie zdradzi, rozumiem. Proszę mi tylko powiedzieć, czy powinienem tam pojechać i siłą przywieźć Grażynę do kraju.

Popatrzyła na ojca swojej przyjaciółki. Wiedziała, że jest klinicystą, niezwykle cenionym naukowcem, i gdyby nie zabory

oraz wypadek, który zrujnował mu zdrowie dwadzieścia pięć lat temu, byłby już dyrektorem szpitala albo stał na czele Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

– Doktorze Korzyński... – odparła z szacunkiem. – Jestem związana pewną obietnicą. Przynależam Grażynie, że ona sama będzie mogła opowiedzieć panu o specjalizacji i swoich postanowieniach. Nade wszystko chciała pozostać w Zurychu i robić specjalizację z zakresu chorób kobiecych. Wygląda jednak na to, że... w Zurychu to się nie uda – zakończyła niezręcznie.

Wiele wysiłku kosztowało ją wytrzymanie spojrzenia Bogumiła Korzyńskiego.

– Czy to dlatego, że jest kobietą? – spytał w końcu.

Mogła tylko potwierdzić z całą mocą. Bo czyż nie o to właśnie szło, że Grażyna była kobietą? Wróciła myślami do tamtych dni w Zurychu.

„On zostawi dla mnie żonę i będziemy razem prowadzić badania”, Grażyna wypowiedziała te absurdalne słowa z głęboką wiarą w głosie, chociaż nic na to nie wskazywało.

„Gdyby tak było, nie odwróciłby się od ciebie”, łagodnie przypomniała jej Anna.

Nie знаła mężczyzn, sama nigdy nie była zakochana. Nie rozumiała, co Grażyna widziała w Konradzie Rayzerze, dość ograniczonym, niespecjalnie przystojnym profesorze. Tym bardziej nie umiała wytłumaczyć, dlaczego po jego tchórzliwej obronie Grażyna wciąż kochała tego człowieka.

„Musiał tak zrobić, żeby ratować nasze badania”, upierała się Grażyna.

Rayzer początkowo wydał oświadczenie, że wszelkie jego kontakty z Grażyną Korzyńską miały charakter czysto naukowy i nie wydarzyło się nic, co rzuciłoby cień na jego nienaganną moralnie osobę. To mogłoby zakończyć sprawę. Kiedy jednak ukazała się drukiem epistoła żony, Konrad zachował się jak szczur, nie



jak mężczyzna, ponieważ nie przyznał się do romansu. Całą winę zrzucił na Grażynę. Przed oburzonym gronem profesorskim Rayzer tłumaczył się, że nie ma wpływu na naganne zachowanie niektórych dziewcząt, które nie powinny opuszczać domowych pieleszy, tułać się po świecie i zbliżać do uniwersytetów.

„To nieprawda, i dobrze o tym wiesz”, mówiła jej Anna. „Nazwał cię panną lekkich obyczajów”.

„Musiał tak zrobić, bo żona zabrałaby mu dzieci”, przekonywała przyjaciółka.

Anna знаła ojca profesora Rayzera, wielkiego lekarza, który walczył o czystość na oddziale położniczym, z szacunkiem traktował rodzące kobiety i podejmował wyzwania naukowe. Najwyraźniej syn był małym człowiekiem, skoro doprowadził do takiej kompromitacji, a potem porzucił ukochaną, która straciła wszystko, a na dodatek przywłaszczył sobie jej badania i przekonował środowisko naukowe, że kobieta za progiem uczelni to nic więcej jak wielkie kłopoty.

– Panie doktorze – powiedziała Anna do Bogumiła Korzyńskiego. – Zapewniam pana, że użyłam wszelkich argumentów, żeby Grażynka wróciła do domu. Jestem pewna, że to zrobi, gdy tylko dokończy... pewne sprawy...

– Sądzisz, że jednak nie pojedzie do ciotki? Liczyliśmy na to. Tyle razy jej pisaliśmy, że Augusta i Leopold mogliby się nią opiekować – pani Domicela trwała przy swoim.

– Tego nie wiem – odparła Anna szczerze. – Moim zdaniem ona raczej wróci do Warszawy. Tylko potrzebuje jeszcze trochę czasu.

– Dlaczego nie publikuje żadnych badań? – Doktor Korzyński nie spuszczał oczu z dziewczyny. – Pani wie, prawda?

Siostry Grażyny wróciły do stołu, a cała uwaga ponownie skupiła się na Annie, która znów poczuła się źle. Wreszcie pani Domicela zdecydowała się wybawić ją od pytań.

– Boguniu – dotknęła ramienia męża – nie męcz, proszę, naszego gościa. Anno, proszę wybaczyć nam.

Dziewczyna kilka razy pokiwała głową. Służąca wniosła tacę z ciasteczkami jabłkowymi. Anna, chociaż była już syta, wzięła jedno i położyła na talerzyk.

– Grażynka tak lubiła ten deser. Wycinała listki z ciasta i opłatała sprytnie jabłko. Robiła to lepiej niż kucharka – powiedziała Marcelina.

– Dlatego żartowaliśmy, że powinna zostać chirurgiem. – Ewa roześmiała się.

– Prędzej różę zakwitną zimą, a do Ameryki będziemy latać balonem, zanim pozwolą kobiecie zostać chirurgiem. A nawet gdyby pozwolili, to wszyscy, mężczyźni i kobiety, uciekliby na widok noża w niewieścich rękach – skomentowała jej słowa Anna. Po chwili ciszy pierwsza zaczęła śmiać się pani Domicela, następnie jej córki i wreszcie doktor Korzyński. Aż do końca wizyty nikt już nie wspominał o Grażynie i nie ciągnął Anny za język.

– Tak bardzo państwu dziękuję za dach nad głową – powiedziała, kiedy wypiła herbatę i wizyta dobiegła końca.

– Głupstwo. – Bogumił machnął ręką. – Bardzo się cieszymy z pani obecności. Od śmierci mamy i Remigiusza czujemy się samotni. Augusta i Leopold mieszkali tu, gdzie teraz pani, zanim wyjechali za ocean. Potem nie mieliśmy szczęścia do lokatorów.

– Ja się z państwem rozliczę co do grosza – zapewniła – kiedy tylko...

– Ależ drogie dziecko – przerwała jej pani Domicela. – Nie ma o tym mowy. Koniec dyskusji na ten temat.

– Dziękuję. Do widzenia państwu – powiedziała. – To był cudowny dzień.

Bogumił ją uściskał.

– Mam nadzieję, że jutro profesor Hoyer przedstawi pani prace z należytym naukowym pietyzmem – oznajmił. – Osobi-

ście zabiorę głos i mam nadzieję niedługo powitać panią w gronie lekarskim.

– Oby. – Anna wzniosła oczy ku niebu, a ręce złożyła jak do modlitwy.

– Ja mogę się tylko o to modlić, kochanie – dodała pani Domicela i wdzięcznie przytuliła się do męża. – Co dzień zmamiam modlitwy za naszych przyjaciół, którzy zostali zesłani na Sybir, za dusze tych, którzy chcieli ratować kraj i poszli walczyć w powstaniu. Za ciebie też się pomodłę. Może chociaż tej modlitwy Pan Bóg wysłucha. Tyle razy mi odmawiał...

Anna wpatrzyła się w tych dwoje ludzi z wyraźną zazdrością. Jej rodzice nigdy nie okazywali sobie uczuć, swoim dzieciom także nie. U Korzyńskich było zupełnie inaczej. Przez jedną krótką chwilę pomyślała, że mogłaby wyjść za mąż, najlepiej za lekarza, cieszyć się spokojnym życiem żony i urodzić dzieci. Przy odrobinie szczęścia byłby to światły człowiek i mogłaby wykorzystać swoje zdolności, wspierając jego karierę. Mogłoby razem pracować w laboratorium i podpisywać prace jako A. Tomaszewicz. Nikomu by do głowy nie przyszło, że autorem jest kobieta.

Zaraz jednak opamiętała się i poszła szybkim krokiem w stronę swojego nowego mieszkania. W progu powitała ją służąca Kasia, świeży nabytek, dziewczyna młoda i jeszcze niedoświadczona, ale Anny nie stać było na inną.

– Panienka będzie jeść? – spytała.

– Przecież wracam z gościny, najedzona. – Wyminęła dziewczynę. – Zrób mi tylko herbaty, mocnej, bo będę pracować do późna.

Kasia dygnęła i natychmiast poszła do kuchni, a Anna udała się do gabinetu, gdzie z szuflady biurka wyjęła cały stos korespondencji z wybitnymi zagranicznymi lekarzami i artykuły z amerykańskich, angielskich i niemieckich pism. Zamierzała je przejrzeć i ocenić, które z nich mogą się jej przydać w dalszej pracy.



– Przedstawione prace przynoszą zaszczyt ich autorce – powiedział profesor Hoyer. – Napisane są z dokładną znajomością tematu oraz dostępnej literatury. Świadczą one o wielkich zdolnościach autorki, jak również o dogłębnym zaznajomieniu się jej z celami i środkami medycyny. Autorka stosuje najnowocześniejsze zdobycze nauki, jakie znane są nam w roku Pańskim tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym.

W sali, w której siedziało trzydziestu wybitnych przedstawicieli warszawskiej medycyny, zapadła cisza. Henryk Hoyer pogładził z zadowoleniem imponujące bokobrody.

– Zachęcam do dyskusji – dodał nieco zniecierpliwionym tonem wobec przedłużającego się milczenia zebranych.

– Mamy dyskutować nad pracami naukowymi kobiety czy też nad tym, czy będzie mogła wykonywać nasz szlachetny zawód? – spytał profesor Troszczyński.

Hoyer skarcił wzrokiem kolegę chirurga, a następnie zwrócił się w stronę niskiego, szczupłego, gładko ogolonego mężczyzny, który ze skupieniem studiował prace Anny Tomaszewicz.

– Najpierw wypowiedzmy się o wartości merytorycznej prac. Może pan zechce zabrać głos, profesorze Nowakowski? To przecież prace z zakresu mózgowia.

Sędziwy neurolog wstał.

– Dziękuję za możliwość rozpoczęcia dyskusji. Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że owe badania nad korą mózgowia są nowatorskie – powiedział. – Czytałem prace kolegów Hitziga i Fritscha sprzed kilku lat. Na długo, zanim panna Tomaszewicz zawitała do Zurychu, zajmowali się badaniem motoryki kory mózgu. Pierwsze ich próby były jednak niczym innym jak błędzeniem we mgle, szukaniem jakiegoś punktu zaczepienia w świecie, do którego nie możemy mieć wstępu...

– Co mają do rzeczy owe prace, w których aplikująca panna nie brała udziału? – przerwał mu profesor Małcużyński, specjalista chorób serca.

– Do tego zmierzam – odpowiedział spokojnie Nowakowski. – Jeśli pan zechce mi nie przerywać, wyjaśnię, co mam na myśli. Chodzi o to, że dopiero udział owej, jak to się pan wyraził, „panny” nadał badaniom pożądany kierunek. Wcześniej drażnienie kory było bezładne, dotyczyło wybranych punktów i nie zawsze uzyskiwano powtarzalne reakcje na bodźce. To panna Tomaszewiczówna zaproponowała, aby korę razić prądem milimetr po milimetrze i zapisywać doznania. Ona zauważyła naprzemienność odpowiedzi, a tym samym dowiodła, że włókna nerwowe bez wątpienia są skrzyżowane. Podkreśla to profesor Fritsch w liście polecającym.

– Przecież sam pan mówił, że opisał to już Hitzig! – wykrzyknął Junosza-Gawroński, mało zdolny chirurg z wybitnymi koneksjami w świecie carskiej socjety. Nowakowski był przekonany, że Junosza-Gawroński nie ma pojęcia, o jakich badaniach mowa, ale będzie głosował przeciw przyjęciu Anny Tomaszewicz do Towarzystwa ze względu na jej płeć.

– Owszem, ale to ona powtórzyła badania na psach i kotach oraz potwierdziła ustalenia. Co więcej, znalazła i opisała linię, która dzieli pas kory mózgowej odpowiedzialny za ruch od miejsca, w którym zwierzęta doznają jedynie reakcji czuciowych – odpowiedział spokojnie Nowakowski, zdając sobie sprawę, że dla niektórych kolegów, nieobeznanych z działaniem ośrodkowego układu nerwowego, jego słowa są kompletnie niezrozumiałe.

– Jak takie badania mogą przysłużyć się człowiekowi? Czy wyniki uzyskane na psach mają jakiegokolwiek znaczenie? – spytał ftyzjatra Zakrzewski.

– Ależ oczywiście! – Profesor Nowakowski zaśmiał się. – Nie możemy ich wykonywać na ludziach z oczywistych względów.

Proszę jednak popatrzeć w przyszłość. Jeśli znajdziemy miejsca w mózgu, które odpowiedzialne są za ruch, cóż to będzie za nadzieja dla paralityków!

Na sali rozległy się pojedyncze śmiechy i chrząknięcia.

– W jaki sposób? – spytał Junosza-Gawroński. – Czy potrzebna jest nam wiedza, która obraża Pana Boga? Ta panna jest jak biblijna Ewa, która niesie nam zatrute jabłko!

Kilku ze zgromadzonych zaczęło się śmiać, reszta spojrzała na Junoszę-Gawrońskiego z dezaprobatą.

– Ewa nie dała Adamowi zatrutego jabłka, pomylił pan Biblię z bajeczką braci Grimm. – W głosie Nowakowskiego słychać było wyraźną ironię.

Junosza-Gawroński zrobił się czerwony na twarzy.

– A może prace panny Tomaszewicz to bajki? Na pewno ma pan więcej do powiedzenia na temat bajek niż nauki. – Wycelował palec w starego neurologa, a ten złapał się za serce.

– Jak pan śmie?! – wykrzyknął.

– Kolego, to jest obraźliwe! – upomniał Junoszę-Gawrońskiego Ignacy Starowrocki, ledwie doktor, nie profesor, ale oddany nauce; zasiadał w Towarzystwie od niedawna. – Jesteśmy winni szacunek starszym!

– Pana ojciec nigdy by nie powiedział czegoś takiego! – krzyknął do Junoszy-Gawrońskiego Małcużyński, specjalista chorób płuc, i na znak solidarności z Nowakowskim wstał ze swojego fotela i podszedł do neurologa.

Podobny gest wykonali jeszcze profesorowie Tarasiewicz oraz Dobrzański, pediatra. Kilku innych lekarzy wstało i ustawiło się za Junoszą-Gawrońskim. Przez chwilę wydawało się, że zebranie skończy się podziałem na dwie grupy, zwolenników Nowakowskiego i jego przeciwników, ale profesor Hoyer, bądź co bądź założyciel i przewodniczący Towarzystwa, postanowił do tego nie dopuścić.

– Panowie! – uciszał kolegów. – Zachowujecie się jak przepukni! Zebraliśmy się tu, aby przedyskutować walory naukowe, a nie religijne prac doktor Tomaszewiczówny! Proszę...

– Nie unikniemy takiej dyskusji! Sam pomyśl, aby kobieta była lekarzem, obraża Boga! – wykrzyknął Junosza-Gawroński.

– Proszę nie mieszać w to Boga! – Hoyer zaczął uderzać ręką w stół. – I proszę wrócić na swoje miejsca!

Ponownie rozległy się na sali głosy oburzenia.

– Koledzy, dziękuję za wasze wsparcie, ale poradzę sobie z osobami pokroju pana Junoszy-Gawrońskiego. – Nowakowski zachęcił gestem, aby stojący za nim koledzy wrócili na swoje miejsca.

Profesor Hoyer poczekał, aż wszyscy ponownie usiądą.

– Wracamy do dyskusji nad pracami doktor Tomaszewicz – powiedział nieco wzburzonym tonem. – I proszę o merytoryczne głosy.

– Ta pani przywłaszczyła sobie badania mężczyzn – odezwał się Hieronim Wielowiejski, najstarszy z profesorów. – Bóg jeden wie, jak przekonała tych nieszczęśników, aby wpuścili ją do pracowni. Być może czarami. Jeśli dopuścimy ją między nas, stworzymy niebezpieczny precedens, okażemy słabość. Ta kobieta będzie jak żmija. Ogrzeje się i nas ugryzie. Zniszczy Towarzystwo od środka. Oto co mam do powiedzenia na ten temat.

– Ma rację! – krzyknął Junosza-Gawroński.

– Pan żeś się szaleju najadł! – Kalinowski, młody asystent na oddziale chorób kobiecych Szpitala Dzieciątka Jezus, pogroził mu pięścią. – Takie słowa o damie!

– Takie słowa do starszego wiekiem i rangą! – krzyknął do Kalinowskiego profesor Małcużyński.

– Kto obraża damę, ma niską rangę! – odparował młody asystent.

– Jeśli dziś będziemy bać się umysłu kobiety, jutro zaczniemy się mordować z zazdrości o badania! – krzyknął nieco patetycznie doktor Dobrski, ambitny laryngolog.

Profesor Hoyer ponownie zaczął uderzać pięścią w stół. W historii Towarzystwa nie było tak burzliwego zebrania.

– Dość tego! – donośny głos przerwał dyskusję. – Chciałbym zabrać głos, ponieważ sądzę, że mam do powiedzenia coś istotnego na temat zarówno kobiet lekarek, jak i badań nad mózgowiem...

– Profesorze Korzyński, niech pan nie wstaje – poprosił Henryk Hoyer.

Bogumił podziękował. Z biegiem lat coraz trudniej mu było długo stać. Złamana w kilku miejscach noga wprawdzie się zrosła, ale od czasu potrącenia przez dorożkę szalonego pismaka Bogumił kulał. Dawniej podudzie dokuczało mu jedynie wtedy, kiedy zbliżał się deszcz. Obecnie uskarżał się na ból przy każdym niefortunnym stąpanięciu albo zbyt dużym obciążeniu stopy. Przekląty Franciszek Podeszwa. Na szczęście od razu dosięgła go ręka sprawiedliwości. Spadł wraz z dorożką w odmęty Wisły.

– Usiądę – zgodził się Bogumił i z ulgą spoczął na fotelu. – Jak panowie wiecie, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku opisaliśmy wraz z kolegami Teraz-Zawiszą oraz Koniecpolskim przypadek kobiety, która po podrażnieniu fragmentu kory ruchowej wykonała serię specyficznych ruchów przypominających marsz mięśniowy; następnie przeszły one w atak drgawek. Kolega Zawisza przedstawił tę pracę w Bostonie i spotkała się ona z zainteresowaniem szerokiego grona lekarzy. Kilka lat później John Hughlings Jackson dostrzegł u swojej żony podobną sekwencję ruchów, drgawek palców, od kciuka, przez palce wskazujący, środkowy i serdeczny, aż do małego, przechodzących na przedramię i ramię, wreszcie obejmujące całą połowę ciała. Nazwał owe ruchy „marszem”. Badania profesorów Hitziga i Fritscha



oraz panny Tomaszewicz pozwalają te objawy zrozumieć i umiejscowić w mózgowiu. Niewątpliwie są przełomowe. Jak panowie widzą, nie mają w sobie nic z taniej sensacji. Są bardzo dobrze udokumentowane i opisane, opatrzone zostały licznymi odniesieniami do innych publikacji, także naszej. Rysunki, które wykonano, są dodatkowym dowodem na to, że naukowcy, wśród których jest kobieta, Polka, nie bawili się w męczenie psa, ale prowadzili badania naukowe. Jakie macie panowie wątpliwości? Gdyby praca została podpisana jedynie przez dwa męskie nazwiska, wzbudzałyby panów wątpliwości? Sądzę, że nie.

Kiedy Bogumił Korzyński wymówił słowo „Polka”, niektórzy z obecnych, między innymi Junosza-Gawroński, spuścili głowy. Po klęsce powstania wielce ryzykowne było nazywanie kogokolwiek „Polakiem”.

– Kolego Korzyński – rozległ się głos Damiana Grzywaczewskiego – nie ujmując panu zasług, czy nie sądzi pan, że pana opinia jest nieco stronnicza?

Bogumił uniósł rękę, aby uciszyć szmery oburzenia. Umiał bronić się sam, nie potrzebował pomocy sprzymierzeńców.

– Dlatego że sam podpisałem się pod pionierską pracą czy też dlatego, że moja córka studiuje medycynę?

W sali zapadła cisza. Bogumił wyprostował się na fotelu i odchylił dumnie głowę do tyłu.

– Tak, dobrze panowie słyszeli. Nie wszyscy tu zgromadzeni wiedzą, że moja córka Grażyna kończy Wydział Medyczny uniwersytetu w Zurychu, a ja jestem pełen podziwu dla jej umysłu i wybitnych zdolności.

– Dlatego sądzę, że jest pan stronniczy. Anna Tomaszewiczówna jest znajomą pańskiej córki, a teraz mieszka u pana w domu – nie ustępował Grzywaczewski.

Ponownie rozległy się pomruki i Bogumił znów uniósł rękę, aby je uciszyć.

– Nie u mnie w domu, tylko w mieszkaniu, które należy do mojej rodziny. Panna Tomaszewiczówna je wynajmuje. Sama pochodzi z Mławy i może tam wrócić, ale po tym, jak uzyska prawo praktyki lekarskiej. W Warszawie nie ma gdzie mieszkać. Nie pojmuję, skąd pan czerpie taką wiedzę. To nie tajemnica, muszę jednak stwierdzić, że mnie to zastanawia.

Grzywaczewski miał gniewną minę.

– Tak się składa, że przechodziłem niedawno pańską ulicą i owa panna wychodziła właśnie z domu...

Bogumił pokręcił z niedowierzaniem głową.

– O czym pan mówi? – spytał.

– Czy to wypada, aby panienska mieszkała sama? – przerwał im profesor Troszczyński, specjalista chorób ucha.

– Drogi kolego – niecierpliwił się Bogumił – nie mnie osądzać, co wypada młodej kobiecie po studiach. Czy o tym mówimy, powtarzam? Może powinien pan raczej skupić się na jej pracy pod tytułem: Przyczynek do fizjologii błędnika słuchowego? Bo do uwag kolegi Grzywaczewskiego nie zamierzam się odnosić.

Grzywaczewski wydał serię pomruków, które Bogumił postanowił zignorować. Korzyński wpatrywał się w Troszczyńskiego.

– Czytałem tę pracę – odpowiedział ten. – Jest pierwszorzędna.

– Właśnie – wtrącił Henryk Hoyer. – To znakomita praca. Warto także przeczytać dwie pozostałe, traktujące o mechanizmach obronnych organizmu ludzkiego. Panna Tomaszewiczówna jest nadzwyczajnym badaczem i nie ogranicza się do poznania jednej tylko tkanki. Mózg wydaje się jej ulubionym organem, co uważam za zaletę, a nie wadę, ale równie dobrze orientuje się we krwi, w węzłach chłonnych oraz w przewodzie pokarmowym.

– Mózg jest jej najmocniejszą stroną – dodał Bogumił, patrząc znacząco na Junoszę-Gawrońskiego i Grzywaczewskiego.

– A co się stanie, kiedy panna Tomaszewicz zapragnie urodzić dziecko? – spytał profesor Umiszewicz, specjalista chorób kobiecych.

– Zapewne je urodzi – odpowiedział mu nieco zniecierpliwiony Henryk Hoyer. – To nie jest przedmiotem naszej dyskusji.

– Jeśli znajdzie męża – dodał Junosza-Gawroński i kilku profesorów wybuchnęło śmiechem.

Bogumił Korzyński skrzywił się.

– Podobne uwagi nam nie przystoją – powiedział profesor Hoyer.

– Dlaczego? – spytał Umiszewicz. – Może naszym zadaniem jest uratować tę biedaczkę przed nią samą?

– Tak piękna kobieta na pewno znajdzie męża – stwierdził Konrad Dobrski. – A mąż powinien docenić jej intelekt i urodę. Jeśli jest tak mądra, jak urodziwa, powinniśmy przyjąć jej kandydaturę.

Bogumił spojrział surowo na młodego kolegę i już chciał wyrzucić z siebie jakąś ciętą ripostę, ale powstrzymał się, kiedy zobaczył, że Dobrski jest czerwony jak burak. Sam był zdania, że Anna Tomaszewicz jest niezwykle urodziwa, chociaż za najpiękniejszą kobietę na świecie uważał swoją żonę.

– Nie chciałbym, aby sprawa sprowadzała się do płci panny Tomaszewicz – zaznaczył Henryk Hoyer. – Czy ktoś z panów ma jakieś zastrzeżenia natury intelektualnej do owych prac?

– Pracom nic nie można zarzucić – ponownie zabrał głos Nowakowski. – Wszyscy, jak tu siedzimy, mamy tego świadomość. Sądzę, że idzie tu o płęć. Czy kobieta ma prawo wykonywać ten zawód? Oto nad czym dywagujemy.

– Zatem popatrzmy na pannę Tomaszewicz tak, jakby była mężczyzną – dodał milczący do tej pory Karol Radzikiewicz, specjalista chorób płuc, kolega Bogumiła.

Po sali znów przeszedł szmer.

– Przypominam, że panna Tomaszewicz nie prosi nas o wyplacanie jej pensji ani nie chce nas uczyć. Ona pragnie tylko, abyśmy przyznali, że studia, które skończyła z wynikami, jakie nam tu zaprezentowała, upoważniają ją do praktyki lekarskiej – dodał Hoyer.

– A co panna Tomaszewicz zrobi, jeśli dopadnie ją globus bądź inna kobieca przypadłość? – zapytał nagle Roman Dębicki, chirurg, który wciąż przekonywał, że znieczulenie pacjenta przy operacji jest w istocie niepotrzebne.

– A co robiła w Zurychu, kiedy dopadała ją jakaś przypadłość? – nie wytrzymał Bogumił. – Nie wiemy i ta wiedza nie jest nam do niczego potrzebna. Najwyraźniej skutecznie zwalczała kobiece słabości, bo mamy tu prace naukowe.

– Czy o córkę też tak będzie pan walczył? – spytał Konrad Popielski, także do tej pory milczący.

Bogumił udał, że nie obrażają go te słowa.

– Jeśli moja córka wróci do Warszawy i przedstawi podobnie imponujący dorobek naukowy, to owszem, będę.

– Ja bym nie pozwolił córce jechać w świat i udawać intelektualistki – dobiegł go głos z tyłu. Bogumił nie umiał rozpoznać, do kogo należał. – Skórę bym złożył i zamknął dziewczynę w ciemnej komórce.

– Panowie! – Wydawało się, że Henryk Hoyer jest u kresu wytrzymałości. – Nie spodziewałem się po was takich reakcji! Osobiste przytyki, niegodne naukowców uwagi, wreszcie pełne jadu komentarze! Kim jesteście? Członkami Towarzystwa Lekarskiego czy bandą zazdrośników, którzy boją się, że kobieta ma bardziej otwarty umysł i zabierze im pacjentów?!

Bogumił westchnął. Kiedy urodziła mu się trzecia córka, doszedł do wniosku, że nie dane mu jest przedłużyć tradycję lekarską w rodzinie. A gdy odkrył, że Augusta, siostra jego żony, sfałszowała dyplom pierwszego męża swojej matki i w męskim

przebraniu praktykuje w Szpitalu Dzieciątka Jezus, był tak samo oburzony jak większa część mężczyzn obecnych na zebraniu Towarzystwa Lekarskiego. Szybko jednak przekonał się, że Augusta, chociaż była kobietą, znacznie przewyższała go intelektem, przenikliwością i zdolnościami klinicznymi. Okazała się znakomitym diagnostykiem i wspaniałym lekarzem. Jej mąż, przyjaciel Bogumiła – Leopold Teraz-Zawisza – rozumiał to znacznie lepiej i gotów był kontynuować maskaradę żony, byle tylko mogła praktykować.

– Wierzę, że pan by to zrobił. – Bogumił usłyszał głos starego Nowakowskiego. – Współczuję panu, drogi kolego. Ma pan syna, który jest utracjuszem i przegrywa w karty rodzinny majątek. Nie studiował żadnych nauk. Ale zapewne się pan cieszy, że nie ma ambitnej córki...

– Przyganiał kocioł garnkowi! – rzucił Junosza-Gawroński z pogardą.

Bogumiłowi zrobiło się przykro. Sam lata temu zdemaskował młodego Nowakowskiego jako donosiciela i człowieka nikczemnego. Stary Nowakowski pierwszy potępił zachowanie syna jako niegodne. Wiele lat temu młody Feliks Nowakowski wyjechał do Włoch i słuch o nim zaginął.

– Hańba! – krzyknął Dobrski. – Przeprós pan natychmiast!

– Wybaczam panu, boś jest pan głupi – powiedział spokojnie Zygmunt Nowakowski, uspokajając Dobrskiego gestem. – Gdybym miał córkę z tak wybitnymi zdolnościami, cieszyłbym się, że mogę przekazać jej praktykę.

– Będę żądał satysfakcji! – wrzasnął Junosza-Gawroński.

– Panowie! Panowie! – Stary Hoyer co chwila wycierał pot z czoła. Widać było, że ma już dość.

– Powtórzę: głupis pan jak but. – Nowakowski machnął ręką. – Pewnie pan nie wie, że doskonale strzelam. Zabiłbym pana na miejscu. Jestem jednak za stary, aby iść do więzienia. Ale może

pan strzelić do mnie i sam pojechać na Sybir – dodał. – Byłby to mój wkład w rozwój medycyny warszawskiej...

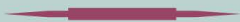
– Panowie! – Hoyer bezskutecznie starał się uciszyć zgromadzonych.

– Panowie! – krzyknął donośnie Bogumił. – Proponuję zamilknąć i pozwolić profesorowi Hoyerowi zamknąć zebranie!

– Tak... – westchnął Henryk Hoyer. – Dziękuję panom za dyskusję. Zamykam zebranie. Przypominam, że za nieco ponad miesiąc, ósmego stycznia roku przyszłego, zgromadzimy się tu ponownie, już nie po to, aby dyskutować, ale głosować nad kandydaturą pani doktor Anny Tomaszewicz. Każdy z panów rozstrzygnie to w swoim sumieniu. Głosowanie jest jawne. Prace przedstawione przez adeptkę można zabrać ze sobą i jeszcze raz się nad nimi pochylić. Wesołych świąt, drodzy koledzy.



OPARTA NA FAKTACH OPOWIEŚĆ  
O PIERWSZEJ DYPLOMOWANEJ LEKARCE  
PRAKTYKUJĄCEJ NA ZIEMIACH POLSKICH.



Koniec lat 70. XIX wieku. Anna Tomaszewicz po zakończeniu studiów medycznych na Uniwersytecie w Zurychu wraca do Warszawy z zamiarem otwarcia praktyki. Jest utalentowana, pełna zapału, ma na koncie doskonale przyjęte przez środowisko publikacje naukowe, chce pomagać ludziom. Ale Towarzystwo Lekarskie, do którego zgłasza się niedługo po przyjeździe, widzi w niej przede wszystkim kobietę – kogoś, kto nigdy nie powinien leczyć. Anna cały czas jednak uparcie dąży do celu i po to, by nostryfikować dyplom i w końcu móc pracować w zawodzie, gotowa jest udać się choćby do samego cara.

Tymczasem w stołecznych domach i szpitalach szerzą się choroby powodowane przez wszechobecny brud i nieprzestrzeganie zasad higieny.

Zalecenia Josepha Listera, inicjatora antyseptyki, nawet jeśli znane, są ignorowane i wykiwane przez większość lekarzy i personel medyczny. Po przytułkach i kamienicach jak dziki ogień rozprzestrzenia się gruźlica, a na salach operacyjnych wielu pacjentów umiera, mimo udanych zabiegów.

Zniwo zbiera też gorączka połogowa – przypadłość, na którą doktor Anna zwracała szczególną uwagę.

W tkankę powieści Grabowska wplata historie postaci, które miały przełomowy wpływ na dzieje medycyny: Elizabeth Blackwell, Louisa Pasteura, Wilhelma Röntgena czy Charlesa Darwina.

**KUP TERAZ!**

www.marginesy.com.pl



cena 44,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

FACEBOOK.COM/  
**HISTORIA  
NA OBCASACH**

**granice.pl**  
współpraca z Biblioteką

**TeleTydzień**

w sprzedaży także

